

STEPHEN KING

JAKO RICHARD BACHMAN

CHUDSZY



Rozdział 1

111

— *Chudszy* — szepnął stary Cygan z gnijącym nosem, patrząc na Williama Hallecka, który razem ze swoją żoną Heidi opuszczał gmach sądu. Tylko to jedno słowo, przesłane wraz z ciepłym, przesyconym duszącą słodyczą oddechem. Zanim Halleck zdążył się odsunąć, Cygan wyciągnął rękę i zgiętym palcem dotknął jego policzka. Jednocześnie rozchylił usta jak brzegi rany, ukazując parę poczerniałych pieńków zębów oraz czarnozielone dziąsła. Pomiedzy nimi przesuwiał się język, który po chwili dotknął jego uśmiechniętych gorzko ust. — *Chudszy*.

Wspomnienie to powróciło do Billy’ego Hallecka bardzo wyraźnie, kiedy o siódmej rano stanął na wadze z ręcznikiem przewiązanim wokół bioder. Z dołu dochodził zapach bekonu i jajek. Zawsze musiał się pochylać, aby odczytać wskazania wagi. Teraz jednak musiał pochylić

się jeszcze bardziej. Był potężnym mężczyzną, zbyt potężnym, jak mawiał doktor Houston.

„Pamiętaj, Billy — powiedział mu przy okazji ostatnich badań — mężczyzna taki jak ty wkracza do krainy zawału w wieku trzydziestu ośmiu lat. Powinieneś trochę schudnąć”.

Ale tym razem wieści były pomyślne. Zrzucił kilogram — ze 112 do 111.

Kiedy ostatnio odważył się stanąć na wadze i spojrzeć na podziałkę, wskazówka zatrzymała się na 123 kilogramach, jednak wtedy był w spodniach i miał w kieszeniach trochę drobnych, nie wspominając już o kluczach i szwajcarskim scyzoryku. A poza tym ta waga w łazience na górze nie była zbyt dokładna, zawsze wskazywała za dużo. Był o tym święcie przekonany.

Z okresu dzieciństwa w Nowym Jorku zapamiętał, co mówiono o Cyganach — że mają dar przepowiadania przyszłości. Może to prawda? Próbował się roześmiać, ale nie bardzo mu się to udało. Jeszcze za wcześnie na żarty z Cyganów. Na pewno wraz z upływem czasu wszystko się wyjaśni. Teraz jednak na myśl o Cyganach czuł dziwne ssanie w żołądku i w głębi serca miał nadzieję, że już nigdy nie spotka żadnego z nich. Od tej pory będzie unikał jak ognia chiromantów i plansz Ouija umożliwiających porozumiewanie się z duchami. Jeżeli to prawda.

— Billy! — zawołała z dołu Heidi.

— Idę!

Ubierając się, zauważył z niesmakiem, że pomimo spadku wagi spodnie nadal są za ciasne. Miał teraz w pasie

107 centymetrów. Rzucił palenie dokładnie minutę po północy, kiedy zaczął się Nowy Rok, ale zapłacił za to wysoką cenę. Zbyt wysoką. Zszedł na dół niekompletnie ubrany, z rozpiętym kołnierzykiem i krawatem zarzuconym wokół szyi. Linda, jego czternastoletnia córka, wyszła właśnie z pokoju, zamiatając spódnicą i wymachując końskim ogonem, który tego ranka przewięzała atłasową wstążką. Pod pachą trzymała książki. W drugiej ręce miała dwa puszyste pompony cheerleaderek — znak przynależności do drużyny — i wywijiała nimi od niechcienia.

— Cześć, tato!

— Miłego dnia, Lin.

Usiadł przy stole i wziął do ręki „The Wall Street Journal”.

— Dzień dobry, mój drogi — powiedziała Heidi.

Położył gazetę obok obrotowej tacy i uśmiechnął się do niej.

Postawiła przed nim śniadanie — dymiącą górę jajecznicy, angielskie maślane bułeczki z rodzynkami i pięć plasterków kruchego wiejskiego bekonu. Usiadła naprzeciw niego w kącie śniadaniowym i zapaliła vantage’a. Styczeń i luty przeżyli w napięciu — było za wiele „dyskusji”, które wprawdzie zapobiegały gwałtownym kłótniom, ale zamieniały ich nocę w samotną udrękę. W końcu jednak odnaleźli spokój: ona przestała narzekać na jego nadwagę, a on nie wymawiał jej, że za dużo pali. Dzięki tej ugodzie wiosna minęła całkiem znośnie. Poza tym sprzyjały im okoliczności: Billy dostał

awans i przystąpił do spółki Greely, Penschley i Kinder, matka Heidi wreszcie spełniła swoją groźbę i powróciła do Wirginii, a Lindę przyjęto do drużyny cheerleaderek, co okazało się błogosławieństwem dla Billy'ego, bliskiego załamania nerwowego z powodu jej ciągłych hysterii.

Wszystko układało się wspaniale.

I wtedy w mieście pojawili się Cyganie.

Chudszy — powiedział stary Cygan. Co, u diabła, działa się z jego nosem? Syfilis? Rak? A może coś jeszcze bardziej złowrogiego, na przykład trąd? Dlaczego nie przestajesz o tym myśleć? Dlaczego to ci wciąż nie daje spokoju?

— Nie możesz przestać o tym myśleć, prawda? — odezwała się Heidi tak nagle, że Billy omal nie zerwał się z krzesła. — To nie była twoja wina. Tak orzekł sędzia.

— Nie myślałem o tym.

— No to o czym?

— O „Journalu” — odparł. — Piszą, że w tym kwartale znów odnotowano spadek liczby przedsięwzięć budowlanych.

Nie jego wina. Przecież tak orzekł sędzia, prawda? Sędzia Rossington. Dla przyjaciół Cary.

Dla przyjaciół takich jak ja, myśli Billy. Rozegrałem z Carym Rossingtonem sporo partyjek golfa. Dobrze o tym wiesz, Heidi. Na naszym sylwestrowym przyjęciu przed dwoma laty, kiedy zacząłem myśleć o rzuceniu palenia, ale nie mogłem się na to zdobyć, kto złapał cię za twoje śliczne cycki podczas tradycyjnych noworocznych pocałunków? Jak sądzisz, kto? Wielkie nieba, nie pamiętasz? To był stary, dobry Cary Rossington we własnej osobie!

Tak. Poczciwy Cary Rossington, przed którym Billy Halleck wygrał ponad tuzin spraw municypalnych. Dobry, stary Cary Rossington, z którym grywał czasem w pokera w klubie i który nie wycofał się, kiedy jego dobry kumpel od golfa i kart, Billy Halleck (czasami klepał go po plecach i wołał: „Jak się masz, stary byku!”) stanął przed nim w sądzie nie po to, aby rozstrzygnąć jakąś sporną sprawę, ale pod zarzutem przejechania człowieka.

A skoro Cary Rossington się nie wycofał, to jak sądzicie, kto mógłby się z nim zmierzyć? Kto w całym Fairview mógł mu się sprzeciwić? Nikt. Otóż to, nikt. No bo kim w gruncie rzeczy byli ci ludzie? Zwyczajną bandą brudnych Cyganów. Dobrze, że tak szybko wyjechali z miasta w dalszą drogę w swoich starych zdezelowanych półciężarówkach z naklejkami NRA na tylnych zderzakach. Im prędzej, tym lepiej...

Chudszy...

— Pieprzysz. — Heidi zaciągnęła się papierosem. — Za dobrze cię znam. Ten artykuł w ogóle cię nie interesuje.

Podejrzewał, że żona nie da się oszukać. Była zbyt blada i wyglądała na swój wiek (miała trzydzieści pięć lat), co nieczęsto się zdarzało. Pobrali się bardzo, bardzo młodo i Billy wciąż jeszcze pamiętał komiwojażera, który przyszedł do ich domu, oferując nowy model odkurzacza, dokładnie dzień po ich trzeciej rocznicy ślubu. Kiedy dwudziestodwuletnia Heidi Halleck otworzyła mu drzwi, mężczyzna zapytał: „Czy twoja mama jest w domu, kochanie?”.

— Mimo to apetyt mi dopisuje — stwierdził.

Była to szczerą prawdą. Strach czy nie strach, błyskawicznie opróżnił talerz z jajecznicą, po bekonie też nie było już śladu. Wypił pół szklanki soku pomarańczowego i uśmiechnął się szeroko do żony — jak dawny, stary Billy Halleck. Próbowwała odpowiedzieć mu tym samym, ale nie bardzo jej to wyszło. Wyobraził sobie, że ma na szyi plakietkę z napisem: „Mój uśmiech jest chwilowo zawieszony”.

Sięgnął przez stół i ujął ją za rękę.

— Heidi, już wszystko w porządku. A nawet jeżeli nie, to i tak mamy już za sobą.

— Tak, wiem.

— Czy Linda...

— Nie. Już nie. Mówi, że przyjaciółki bardzo jej pomogły.

Po tym zdarzeniu ich córka przeżywała trudny okres. Wracała ze szkoły do domu zapłakana albo bliska hysterii. Przestała jeść i bardzo pobałdła. Billy, nie chcąc zareagować zbyt ostro, udał się na spotkanie z jej ulubioną nauczycielką i zarazem wicedyrektorką, panną Nearing, prowadzącą zajęcia z wychowania fizycznego i treningi cheerleaderek. Dowiedział się, że była szykanowana w tak brutalny i niewybredny sposób, jak to tylko potrafią bezmyślne nastolatki. Z uwagi na okoliczności było to bardzo niesmaczne, ale czegoż można się spodziewać po grupie małolatów, którym głupie dowcipy wydawały się szczytem inteligencji i polotu?

Zabrał Lindę na długi spacer. Po obu stronach Lantern Drive stały eleganckie, oddalone od ulicy domy, warte od

siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów do dwustu (sauna i basen wewnątrz domu), a na jej końcu znajdował się ekskluzywny klub „Country”.

Linda miała na sobie stare madrasowe szorty, rozdarte wzdłuż jednego ze szwów. Jej nogi były niezwykle długie i zgrabne, a przez rozdarcie w szortach widać było skrawek żółtych bawełnianych majteczek. Billy poczuł smutek i lęk. Jego mała córeczka dorastała. Przypuszczał, że celowo włożyła te za małe i okropnie znoszone szorty — kojarzyły jej się z beztroskim dzieciństwem, kiedy tata nie zasiadał na ławie oskarżonych podczas wytoczonego przeciwko niemu procesu (niezależnie od tego, jak bardzo pozorowany był to proces, ponieważ sędzią był stary kumpel ojca od gry w golfa i pokerowego stolika, Cary Rossington, który łąpał jej matkę za cycki), a dzieciaki nie tłoczyły się wokół niej podczas przerwy w meczu piłkarskim czy w czasie lunchu i nie pytały, ile punktów zebrał jej tata za przejechanie tej staruszki.

— *Chyba rozumiesz, że to był wypadek, Lindo.*

Kiwa głową, nie patrząc na niego.

— *Tak, tato.*

— *Ta kobieta wyszła spomiędzy dwóch samochodów, nie oglądając się na boki. Nie miałem dość czasu, aby zahamować. Nie było szans.*

— *Tatusiu, nie chcę tego słuchać.*

— *Wiem, że nie chcesz. A ja nie chcę o tym mówić, ale zamęczają cię w szkole.*

Patrzy na niego bojaźliwie.

— *Tatusiu, ty chyba nie...*

— *Pytasz, czy poszedłem do twojej szkoły? Tak. Poszedłem. Wczoraj po południu. Po piętnastej trzydziści, kiedy nie było już dzieciaków. W każdym razie nie widziałem żadnego. Nikt się o tym nie dowie.*

Uspokaja się trochę.

— *Słyszałem, że niektórzy zachowywali się wobec ciebie dość nieprzyjemnie. Przykro mi z tego powodu.*

— *Nie było tak źle — odpowiada, biorąc go za rękę.*

Ale jej twarz poznaczona młodzieńczym trądzikiem zdradza, że wyglądała to zupełnie inaczej. Aresztowanie kogoś z rodziców niełatwo jest zatuszować, nawet Judy Blume (choć kiedyś pewnie jej się to uda).

— *Słyszałem, że dobrze sobie radziłaś — mówi Billy. — Nie zrobiłaś z tego wielkiej afery i nie dałaś po sobie poznać, jak bardzo cię krzywdzą.*

— *Tak, tato — mówi ponuro.*

— *Panna Nearing powiedziała, że była z ciebie naprawdę dumna — dodaje Billy.*

Drobne kłamstwo. Nauczycielka nie użyła dokładnie tych słów, ale rzeczywiście mówiła o Lindzie w samych superlatywach. To wiele znaczy dla Billa Hallecka, prawie tyle samo, co dla jego córki. Jej oczy rozjaśniają się i po raz pierwszy spogląda na ojca.

— *Tak powiedziała?*

— *Tak powiedziała — potwierdza Billy. Kłamstwo łatwo przechodzi mu przez gardło i brzmi przekonująco. Dlaczego nie? Jeszcze nie tak dawno kłamał jak najęty.*

Linda ściska jego dłoń i uśmiecha się do niego z

wdzięcznością.

— Już niedługo dadzą ci spokój, Lin. Znajdą sobie inny obiekt. Jakaś dziewczyna zajdzie w ciążę, których z nauczycieli załamię się nerwowo albo jakiś chłopak wpadnie na handlu trawą czy kokainą. A o tobie zapomną. Wiesz, o co mi chodzi?

Zarzuca mu ramiona na szyję i obejmuje z całych sił. Jest jeszcze bardzo dziecinna, a trochę kłamstwa nikomu nie zaszkodzi.

— Kocham cię, tato — mówi.

— Ja też cię kocham, Lin.

Obejmuje ją i nagle ktoś włącza olbrzymi wzmacniacz stereo w samym środku jego mózgu i znowu słyszy tamten potworny podwójny łoskot. Pierwszy, gdy przedni zderzak jego oldsa uderza starą Cygankę w jasnoczerwonej chustce na głowie, drugi, gdy przednie koła samochodu przetaczają się po jej ciele. Heidi krzyczy, jej dłoń zsuwa się z ud Billy'ego.

Billy mocniej obejmuje swoją córkę, czując, że dziewczynka drży na całym ciele.

— Chcesz jeszcze trochę jajecznicy? — spytała Heidi, przerywając jego rozmyślenia.

— Nie, dziękuję — odparł, spoglądając na swój czysty talerz z poczuciem winy. Niezależnie od tego, jak kiepsko miały się sprawy, jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby cierpiał na bezsenność albo brak apetytu.

— Jesteś pewien, że...

— Nic mi nie jest. — Uśmiechnął się. — Ani mnie, ani

tobie. I Lindzie też nie. Jak powiadają w mydlanych operach, koszmar się skończył. Czy możemy już wrócić do naszego codziennego życia?

— To wspaniały pomysł. — Tym razem również się uśmiechnęła i znowu zaczęła wyglądać jak niespełna trzydziestoletnia, tryskająca radością kobieta. — Chcesz resztę bekonu? Zostały dwa plasterki.

— Nie — odparł, zastanawiając się, jakim cudem jego spodnie trzymały się na miękkiej talii (jakiej talii? ha! ha! — odezwał się w jego myślach mały, nieznośny Don Rickles — miałeś talię w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym, ty zakuta pało!), i przypomniał sobie, jak mocno musiał wciągać brzuch, aby zapiąć pasek. Potem pomyślał o spadku wagi i powiedział: — Zjem jeden. Straciłem kilogram.

Heidi już wcześniej podeszła do kuchenki mimo jego odmowy. Zna mnie tak dobrze, że czasami mnie to przeraża, pomyślał. Obejrzała się.

— Więc nadal to rozpamiętujesz.

— Nieprawda — odparł rozdrażniony. — Czy człowiek nie może w spokoju stracić kilograma? Mówisz o mnie, jakbym był... chudszy... i trochę mniej muskularny.

Cholera, znowu przyłapała go na rozmyślaniu o starym Cyganie. Ten wyżarty nos i to przerażające uczucie, gdy staruch przesuwiał dłonią po jego policzku — na chwilę przed tym, zanim Billy odskoczył w bok jak od wielkiego włochatego pająka albo kłębowiska robactwa pod przegniłym pniem drzewa.

Heidi przyniosła mu plasterek bekonu i pocałowała go w

skroń.

— Przepraszam. Dalej zrzucaj wagę. A jeżeli ci się nie uda, pamiętaj o słowach pana Rogersa... „Lubię cię takim, jaki jesteś”.

Spojrzał na gazetę leżącą obok tacy, ale było to zbyt przygnębiające. Wstał, wyszedł na zewnątrz i znalazł na kwietniku egzemplarz „New York Timesa”. Rozwożący prasę chłopak zawsze go tam rzucał i nigdy nie przywoził regularnie gazet, zwłaszcza pod koniec tygodnia, nigdy też nie pamiętał nazwisk ludzi, którym je dostarczał. Billy niejednokrotnie zastanawiał się, czy to możliwe, żeby dwunastolatek miał alzheimera.

Zabrał gazetę do domu, otworzył ją na stronie z wiadomościami sportowymi i zabrał się do bekonu. Czytał właśnie nowinki ze świata boksu, gdy Heidi przyniosła mu kolejną porcję maślanych angielskich bułeczek. Zjadł je wszystkie, nawet nie wiedząc, że to robi.

Rozdział 2

110

Sprawa wlokła się od ponad trzech lat i Billy Halleck spodziewał się, że pociągnie się jeszcze przez kilka następnych zim, ale nieoczekiwanie zakończyła się podpisaniem ugody pomiędzy stronami i ustaleniem wysokości odszkodowania — proponowana suma była oszałamiająca. Podczas przerwy w rozprawie doszło do porozumienia i Billy natychmiast polecił powodowi — fabrykantowi farb z Schenectady — oraz swojemu klientowi, aby podpisali formularz porozumienia w pokoju sędziowskim. Adwokat powoda przyglądał się z konsternacją i niedowierzaniem, jak jego klient, przewodniczący spółki „Szczęśliwa Farba”, podpisuje kopie formularza; kiedy notariusz potwierdzał swoim podpisem prawdziwość każdej z kopii i pochylał głowę, jego łysa czaszka połykiwała lekko. Billy siedział spokojnie ze złożonymi dłońmi i czuł się, jakby wygrał los na

nowojorskiej loterii. Do lunchu było już po wszystkim.

Aby to uczcić, Billy poszedł wraz ze swoim klientem do O'Lunneya, zamówił szklaneczkę chivas dla klienta i martini dla siebie, a potem zadzwonił do Heidi.

— Mohonk — powiedział, kiedy podniosła słuchawkę.

Był to znajdujący się w pobliżu Nowego Jorku kurort, w którym spędzili miesiąc miodowy — prezent od rodziców Heidi — dawno, dawno temu. Oboje pokochali to miejsce i od tamtej pory dwukrotnie spędzali tam wakacje.

— Co?

— Mohonk — powtórzył. — Jeśli nie chcesz jechać, poproszę Jillian z biura.

— Co to, to nie! O co chodzi, Billy?

— Chcesz jechać czy nie?

— Oczywiście, że chcę. Na ten weekend?

— Jutro, jeżeli zdołasz namówić panią Bean, aby zajęła się Lindą, upewnij się, że wszystko w domu jest zrobione i że nasza córka nie będzie oglądać w telewizji żadnych gorszących filmów. I jeżeli...

— A twoja sprawa, Billy? — przerwała mu Heidi. — Opary farby, załamanie nerwowe, epizod psychotyczny i...

— Canley chce iść na ugodę. Prawdę mówiąc, jest już po sprawie. Po czterech latach bzdurnych obrad i długich prawniczych wywodów prowadzących donikąd twój mąż zdołał wreszcie zakończyć ten proces. Sprawa Canleya została załatwiona czysto, rozstrzygająco i raz na zawsze. Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

— Boże, to cudownie! — pisnęła tak głośno, że w słuchawce przeraźliwie zaskrzeczało.

Uśmiechając się, odsunął ją od ucha.

— Ile dostał twój klient?

Kiedy podał jej sumę, musiał odsunąć słuchawkę od ucha na co najmniej pięć sekund.

— Jak sądzisz, czy Linda wytrzyma pięć dni bez nas?
— zapytał.

— Jeżeli mogła wytrzymać wczoraj do pierwszej w nocy, oglądając HBO, przez cały czas gadając z Georgią Deever o chłopakach i objadając się czekoladkami... Chyba żartujesz! Jak sądzisz, Billy, czy będzie bardzo zimno? Chcesz, żebym zapakowała twój zielony wełniany sweter? Wolisz ciepłą parkę czy kurtkę z denimu? A może obie?

Powiedział, żeby sama zdecydowała, i wrócił do klienta, który zdołał się już uporać z połową zawartości szklaneczki chivas i miał wyraźną ochotę na opowiadanie głupawych dowcipów. Sprawiał wrażenie lekko oszołomionego. Billy pił swoje martini i jednym uchem słuchał serii standardowych dowcipów, ale myślami był gdzie indziej. Ta sprawa mogła mieć daleko idące konsekwencje — ale było jeszcze za wcześnie, by przewidzieć, w jaki sposób zmieni to bieg jego kariery. Może być całkiem nieźle, jeśli wielkie firmy zmienią swój stosunek do klientów. A to mogło oznaczać, że...

Pierwsze uderzenie rzuca ich do przodu i przez chwilę Heidi mocniej ściska Billy'ego, który prawie nie zdaje sobie sprawy z bólu przeszywającego mu krocze. Uderzenie jest bardzo silne. Krew starej Cyganki tryska w górę, trzy krople wielkości dziesięciocentówek rozpryskują się na

szybko wozu jak czerwony deszcz. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie ma nawet czasu na krzyk. Świadomość tego, co się stało, nadejdzie dopiero za chwilę, w momencie powtórnego uderzenia, a potem...

Przelknął resztę martini jednym łykiem i łyży nabiegły mu do oczu.

— Nic panu nie jest? — spytał zaniepokojony David Duganfield.

— Nie, wszystko w porządku — odparł Billy i wyciągnął do niego rękę ponad stołem. — Gratulacje, Davidzie. — Nie będzie myślał o wypadku, nie będzie myślał o Cyganie z gnijącym nosem. Był uczciwym facetem, a potwierdzał to mocny uścisk dłoni klienta i jego zmęczony uśmiech.

— Dziękuję ci — powiedział Duganfield. — Bardzo dziękuję.

Nieoczekiwanie pochylił się nad stołem i niezdarnie objął Billy'ego, który odwzajemnił uścisk. Ale gdy ramiona Davida Duganfielda otoczyły jego szyję, a jedna z dłoni prześlizgnęła się po policzku, znów przypomniał mu się dziwny gest starego Cygana i poczuł na plecach lodowate ciarki.



W drodze do domu próbował myśleć o Davidzie Duganfieldzie, jednak zanim jeszcze znalazł się na moście Triborough, znów powrócił do rozmyślań o Ginellim.

On i Duganfield spędzili większość popołudnia u O'Lunneya, ale początkowo Billy chciał zabrać swojego klienta do Trzech Braci — restauracji, której nieformalnym

współwłaścicielem był Richard Ginelli. Minęło wiele lat od chwili, gdy Billy ostatni raz był u Braci. Z uwagi na złą reputację Ginellego nie byłoby to zbyt mądre posunięcie, jednak zawsze go korciło, żeby się tam wybrać. Bardzo mile wspominał posiłki i spędzane w tym lokalu chwile, choć Heidi nigdy nie żywiła szczególnej sympatii ani do tego miejsca, ani do Ginellego. Zawsze mówiła, że ten człowiek ją przeraża.

Przejechał przez wyjazd z Gun Hill Road, wjechał na New York Thruway i znów pomyślał o starym Cyganie.

Kiedy to się stało, natychmiast przyszedł ci do głowy Ginelli, prawda? Gdy wróciłeś do domu tamtego dnia i Heidi siedziała w kuchni, płacząc, pomyślałeś właśnie o nim. „Hej, Rich, zabiłem dziś staruszkę. Mogę wpaść do miasta, aby zamienić z tobą parę słów?”.

Ale tuż obok, w kuchni, była Heidi, a ona nie zrozumiałaby jego potrzeby porozmawiania z Ginellim. Dłoń Billy’ego zawisała nad telefonem, a potem odsunęła się od niego. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że chociaż jest dobrze sytuowanym prawnikiem z Connecticut, gdy spotykają go kłopoty, może myśleć o telefonie tylko do jednej osoby — nowojorskiego gangstera, znanego z bezwzględного wykańczania konkurencji.

Ginelli był wysoki i niezbyt przystojny, ale miał klasę. Zawsze był bardzo uprzejmy i trudno byłoby go skojarzyć z handlem narkotykami, prostytutką i morderstwami, choć jego fizjonomia zdradzała związki z każdą z tych trzech gangsterskich profesji. Jednak owego strasznego wieczoru, kiedy szef policji z Fairview, Duncan Hopley, pozwolił

Billy'emu odejść, chciał porozmawiać właśnie z nim.

— ...czy siedzieć tu cały dzień?

— Słucham? — zapytał zaskoczony Billy. Nagle stwierdził, że znajduje się na jednej z rogatek w Rye, gdzie pobierano opłaty.

— Pytałem, czy pan płaci...

— Płacę — odparł Billy i dał mężczyźnie dolara.

Odebrał resztę i pojechał dalej. Był już prawie w Connecticut, tylko dziewiętnaście zjazdów dzieliło go od Heidi. Potem wyruszą do Mohonk. Myślenie o Duganfieldzie nie przyniosło mu ulgi. Wobec tego pomyśl o Mohonk. Może zapomniałbyś na chwilę o tej starej Cygance i starym Cyganie z gnijącym nosem, co ty na to?

Ale po chwili znów powrócił myślami do Ginellego.

Poznał go dzięki swojej firmie, która przed siedmioma laty otrzymała od Ginellego zlecenie — chodziło o jakieś sprawy jego korporacji.

Choć Billy był wówczas bardzo młodym prawnikiem, właśnie jemu przydzielono to zadanie. Żaden ze starszych kolegów nie chciał się tego podjąć.

Już wtedy Rich Ginelli miał złą opinię. Billy nigdy nie zapytał Kirka Penschleya, dlaczego nie odesłano go wtedy z kwitkiem — ale pewnie Kirk odpowiedziałby, żeby zajął się swoją robotą, a dyskusje o polityce firmy zostawił starszym. Podejrzewał, że gangster miał haka na kogoś z biura; był człowiekiem, który dużo wiedział.

Kiedy rozpoczął trzymiesięczną pracę dla Ginellego, przypuszczał, że będzie się bał człowieka, którego miał reprezentować. Stało się jednak inaczej — poczuł do niego

szczerą sympatię. Ginelli był obdarzony dziwną charyzmą i sporym poczuciem humoru. Co więcej, traktował swojego młodego pełnomocnika z szacunkiem.

Billy zwolnił, aby uiścić opłatę wjazdową do Norwalk, po czym znów włączył się do ulicznego ruchu. Pochłonięty swoimi myślami, otworzył schowek na rękawiczki. Pod mapami, notesem i kartą wozu leżały dwie paczki twinkies. Otworzył jedną i zaczął łąpczywie jeść, rozsiewając wokół okruszki.

Jego praca dla Ginellego została zakończona na długo przed tym, zanim oskarżono tego człowieka o serię gangsterskich egzekucji podczas kolejnej fali wojen narkotykowych. Oskarżenie nadeszło z Sądu Najwyższego jesienią 1980 roku, jednak już wiosną roku 1981 zostało wycofane — przede wszystkim z powodu sięgającej 50 procent śmiertelności wśród świadków. Jeden z nich wyleciał w powietrze razem z własnym samochodem i dwoma policjantami, których przydzielono mu do ochrony. Inny został ugodzony w gardło złamanym prętem parasola, kiedy na Grand Central Station siedział na fotelu pucybuta. Dwaj kolejni świadkowie uznali — co nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem — że w gruncie rzeczy wcale nie są pewni, iż to Richie „Młot” Ginelli był człowiekiem, którego udało się im podsłuchać i który wydał rozkaz zabicia brooklyńskiego barona narkotykowego Richovsky’ego.

Westport. Southport. Prawie w domu. Znowu się przechylił i zaczął grzebać w schowku na rękawiczki. Znalazł do połowy opróżnioną paczkę orzeszków ziemnych.

Były trochę zleżałe, ale zjadliwe. Zaczął je przeżuwać, nie poświęcając ich jedzeniu więcej uwagi niż przed chwilą twinksom.

On i Ginelli wysyłali do siebie kartki świąteczne i często spotykali się na obiedzie — zwykle w Trzech Braciach. Ostatnio przestali się widywać ze względu na „prawne problemy” gangstera. Ginelli sam to zaproponował, ale Heidi, która nie darzyła go sympatią, też tego chciała.

— Lepiej będzie, jak przez jakiś czas nie będziemy się spotykać — powiedział Billy’emu.

— Dlaczego? — spytał Billy, tak jakby on i Heidi nie rozmawiali o tym poprzedniego wieczoru.

— Bo w oczach całego świata jestem zwyczajnym gangsterem — odparł Ginelli. — Młodzi prawnicy, którzy zadają się z kryminalistami, nie mogą zajść zbyt daleko, Williamie, a o to przede wszystkim chodzi.

— Czyżby?

Ginelli uśmiechnął się.

— No cóż... jest jeszcze parę innych rzeczy.

— Na przykład?

— Mam nadzieję, Williamie, że nigdy nie będziesz musiał tego wiedzieć. Ale wpadaj co jakiś czas do mojego lokalu na filiżankę espresso. Będziemy mogli sobie pogadać i trochę pożartować. Nie zapominaj o mnie. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Tak więc Billy wpadał od czasu do czasu do Trzech Braci (choć musiał przyznać, że ich spotkania stawały się coraz rzadsze) i kiedy został oskarżony o zabójstwo spowodowane nieostrożną jazdą, pierwszą osobą, która

przyszła mu na myśl, był właśnie Ginelli.

Przecież stary, dobry Cary Rossington, na którego zawsze można liczyć, wziął to na siebie, więc dlaczego wciąż myślisz o Ginellim? Mohonk — to jest to, czym powinieneś się teraz zająć. A także David Duganfield — stanowiący dowód na to, że dobrzy faceci nie zawsze przegrywają. W dodatku zrzuciłeś jeszcze parę kilogramów.

Kiedy jednak skręcił na podjazd, uświadomił sobie, że myśli o tym, co powiedział mu kiedyś Ginelli: „Williamie, mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał tego wiedzieć”.

O czym miałbym nie wiedzieć? — zastanawiał się przez chwilę, ale kiedy Heidi wybiegła przez frontowe drzwi i pocałowała go, zapomniał o Ginellim.